

Półlitrowe futbolówki

...i już nawet puszkę sardynki w oleju człowiek nie może być pewien, nie może bez lęku sięgać po kluczyk otwierający, bo wie, że jak wieczko skręcać się zacznie niczym suchy liść jesienny, to jest szansa, iż z puszek, miast rybek, wyskoczą maletki, czarno-białe piłki nożne. Ja wiem, że to średni i tani dowcip, ale jakże ma on, Panie Boże, nie być średni i tani, skoro japońscy producenci sake naprawdę umieścili boską ciecz w półlitrowych szklanych futbolówkach? No i jak teraz wyglądają tamtejsi „czytelnicy” egzotycznej „pocięzycielki”? Ileż wstąpił się najędzać, chcąc starym zwyczajem Kraju Kwitnącej Wiśni w parkach Tokio bądź Osaki fachowo „odtrąbić hejnał”? Zgroza. Przecież szklana kula nie mieści się w łapie, więc co – z dwóch łap trąbić będą? Amatorstwo lite. Tak, co cztery lata w czerwcu żartów nie ma, bo są mundiale, ale tego roku żartów nie ma szczególnie, bo nasi wreszcie weszli, Jerzy Fedorowicz więc postanowił wejść na scenę. Gra monodram Thomasa Brussiga „Póki piłka w grze”.

Nie wiem tego ściśle, ale z grubsza tak długo, jak naszych nie było w finałach, tak długo Fedorowicz jest dyrektorem Teatru Ludowego. Jako taki mało grał przez te lata. Raczej „grzał ławkę”. Rzadko go obsadzano, rzadko wpuszczano na murawę, a jeśli, to tylko na parę minut. Teraz zagrał całość

- godzinę i kwadrans. Nie oszukujmy się - tak potężna pauza musiała dać znać o sobie. Widoczne były potworne braki kondycyjne, rytm gry wciąż się rwał, aktorskie „kiwki” kompletnie nie wychodziły, a o założeniach taktycznych w ogóle nie ma co gadać. Fedorowicz wiedział, że tak będzie, jako kibic fundamentalny - musiał wiedzieć. Poszedł więc w to, co zostało, poszedł we wspomnienia z dzieciństwa, bronił się wroczonym urokiem osobistym, naturalnością scenicznego bycia i łagodnością oblicza. Doprawdy, w tym aktorstwie ściśle prywatnym było coś wzruszającego szczerego, jak w chłopcu, który jeszcze mało umie, ale już miga w nim iskra boża. Jeszcze subtelniej rzecz ujmę: to prywatne aktorstwo miało w sobie coś z samotnego grilowania. Oto nakupiłeś tony wszelakiego dobra, a koledzy nie przyszli. Stoisz więc sobie w ogrodzie, dzwonko łosiosia cudnie skwierczy na ruszcie, patrzysz więc spokojnie, jak biedronka po żdźbale trawki lezie, kontemplujesz buszującą w konarach srokę, czasem dziobniesz widelcem w rybie, piwka łykniesz, powiesz coś do siebie albo nawet nie powiesz, i czas jakos płynie banalnym tik-tak, kto wie, może nawet zanurcis tę pieśń nad łosiosiem... Fedorowicz grał tak ujmująco jak Arabia Saudyjska z Niemcami (8:0 dla Niemców). Tyle że Arabów

aż 11 było, a Fedorowicz był sam. Siła złego na jednego.

Jakoś nikt mu nie pomógł. Ani Fedorowicz - reżyser, ani sztuczna trawa na scenie, sztuczna, czyli bez szans, by coś prawdziwego na niej wyrosło, ale zwłaszcza nie pomógł autor. Co tu mogę rzec? Jak ongiś Ettore Scola w „Balu”, pokazując przemiany form tanecznych, pokazał historię XX-wiecznej Europy, tak teraz Brussig podobnie zapragnął uczynić. Píše o wcieleniach futbolu w różnych czasach i krajach, każe o tym mówić staremu trenerowi z NRD, trenerowi już w odstawce, trenerowi na aucie życiowym. Padają wielkie piłkarskie nazwiska, wielkie mecze są wspomniane, jedne potęg futbolowe idą w rozsypkę, inne właśnie podnoszą głowy, kruszy się mur berliński, świat zmienia skórę. Jest ciemno, dla tego wótru ludzkiego, co musi gadać, by nie zwariować, jest coraz ciemniej. I wszystko byłoby świetnie, ale, niestety. Słowa Brussiga, niestety, nie tańczą. Ani słowa, ani dowcip, ani myśl. Fedorowicz boryka się zatem z wsządobyłskim banałem, mówi, jakby żuł papier, drepcę w miejscu i chyba nawet jego nie porywa najprzodniejszy wic Brussiga, wic o tym, że nie dlatego ostatnio powodzie nas zalewają, iż mamy w Polsce słabe wały ochronne, ale dlatego, żeśmy w 1974, na mistrzostwach w Monachium, przegrali

z Niemcami legendarny mecz na wodzie, więc teraz wolimy synów regularnie przyzwyczajać do skrajnej wilgoci. O pokazaniu rozsyпки człowieka, którego odcięto od istoty jego oddechu, nie ma co marzyć. Nie ma rozsyпки, jest samotny grilowiec, po którym czasem widać, że mu smutno, bo koledzy nie przyszli, a tu przecież tak potężna aprowizacja. Gotowe się to wszystko zamarnować. Naraz na scenę wchodzi z widowni legendarny trener Wisły Kraków, trener Franczak, i z czterech metrów trafia do monstrialnej bramki jeden raz na trzy. No i jak tu nie drzeć o naszych w meczu z Koreą?

Drżymy, ale wybaczamy. I Fedorowiczowi, i Brussigowi, i Franczakowi. Rzecz w tym, że co cztery lata, w czerwcu, żartów nie ma tak dalece, że wszystko, co nie jest piłką nożną, traci wszelkie znaczenie, a co dopiero mówić o tym czerwcu! Niechaj sobie więc teatr będzie, jaki chce, niech Fedorowicz dalej wzrusza, jak wzrusza - to wszystko i tak niczego nie zmieni. Grunt, że nasi za chwilę znów pójdą w bój o wszystko. I grunt, że nasi japońscy towarzysze broni czują powagę chwili. Już dziś z ust wyrastają im półlitrowe futbolówki.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. Thomas Brussig „Póki piłka w grze”. Reżyseria i wykonanie Jerzy Fedorowicz.